

TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 10.

POZNAŃ 7^{go} Grudnia 1878 roku.

Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi
rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki —
kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie
1 zlr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie
i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

J. J. JEZA

(Ciąg dalszy).

Usiłowaniami Edwarda było do pałacu się dostać. Rozpaczliwym głosem wołając o ratunek, zrywał się na to, ażeby, zrobiwszy kroków parę w kierunku schodów, znów upaść i znów zrzucić z siebie przywalające go ogromne, kudłate cielska, rozpychać twarde a ciężkie łapy i wynurzać głowę do góry z pośrodku zięjących gorącym paszcz.

Tym sposobem dostał się ku środkowi podwórza.

Służba stała nieruchomie. Eliasza na koniu przypatrywał się obojętnie i tylko kiedy niekiedy rzucał do zorey psów rozkaz:

— Z podwórza go wyszczuć!...

Nagle z głównego ganku rozległ się przeraźliwy, a tak silny i przenikliwy krzyk, że psy na raz szczerkały przestały.

Krzyku takiego śmiertelnik nie jest w stanie w życiu powtórzyć dwa razy.

Edward się zerwał. Obszarpany i okrwawiony wyciągnął ku gankowi ręce i zawołał głosu ostatkiem:

— Ratuj!

Na wołanie jego odpowiedział groźny Eliasza rozkaz:

— Wyszczuć go z podwórza!

Po rozkazie tym rozległ się okrzyk dozorczy psów:

— Haj-że!

Psy znów zaszczekały, znów zaskomlały i rzuciły się na swoją ofiarę, która wśród nich znikła.

W chwili téj Eliasza zeskoczywszy z konia, wbiegł szybko po schodach na ganek.

Na marmurowej posadzce leżała na wznak Dyana.

Twarcz jej była fioletowa. Oczy miała szeroko otwarte i krwią nabiegłe.

Eliasza pochylił się nad matką, przykląkł i otoczywszy ją wpół ramieniem, podniósł.

Dyana ciężko westchnęła. Po westchnieniu, ręce jej opadły, głowa zwisała.

— Matko! krzyknął Eliasza, wstrząsając nią z siły całej.

Dyana na krzyk ten nie odpowiedziała.

Eliasza jeszcze nią wstrząsnął, wziął ją na ręce i poniósł w głąb pałacu.

Tymczasem dozorca psów spełnił dosłownie polecenia jego. Edward, za bramę wywleczony, uciekał aleją.

Po chwili wyszedł Eliasza na ganek, bledy i zmieszany. Ze schodów następujący jednemu z dżokejów rzucił rozkaz:

— Ruszaj po pana! powiedz, niech przyjeżdża!

Dżokej, ostrogami konia spiąwszy, jak strzała popędził.

X.

O kilkanaście kroków za bramą, w platanowej alei, gwiznął dozorca na psy i te natychmiast odczepiły się od Edwarda.

Bohater nasz w okropnem był położeniu. Elegancka jego odzież, zbrukana i ośliniona, wisiała na nim w kałki podarta. Włosy zbite były w kultun napełniony

kurzawą. Twarz splugawiona ociekała potem i krwią. Usta napęniały psie kudły. Ręce miał podrapane i pokaleczone. Ciało go bolało w różnych miejscach i we wszystkich stawach. Gdy go psy opuściły i ku bramie się zwróciły, on się zwrócił w przeciwną stronę i pędem pobiegł, a odbiegłszy kroków kilkaset, zeszedł z drogi i usiadł obok źródła, które w tem miejscu z pod kamienia tryskało.

Usiadł i ciężko odetchnął. I oddychał długo, ale coraz to wolniej i coraz to lżej. Odpoczywał. Nie dziw, ciężkoż bo się zmęczył.

W czasie kiedy odpoczywał, przesunął się po drodze najprzód w całym konia pędzie dzokiej a wkrótce potem, w przeciwnym kierunku, ten jeździec co pozostał był na górze, a za nim ten sam dzokiej.

Edward napił się wody i rozmyślać począł.

To co na niego spadło, było tak niespodzianem, a tak nadzwyczajnem, że myśl z trudnością znalazła wątek i ułożyła się w zapytanie:

— Co to się stało?

I nie umiał sobie odpowiedzieć, a gdy znalazł w końcu odpowiedź, to ta nie składała się z wyrazów tylko z uczucia na dwie rozdzielonego połowy, z których jedna była uczuciem krzywdy, druga uczuciem zemsty.

— Skrzywdził Eliasza, pomści Dyana.

Oto, jaką była początkowowa rozmyślań jego treść.

Dla przyspieszenia i spotęgowania zemsty, chciałby jak najprędzej, pobity, pokrwawiony, poszarpany i zbrukany, stanąć przed Dyana i byłby poszedł wprost do pałacu, gdyby go nie wstrzymywały psy, które widział zdaleka leżące na gazonie podwórzowym. Więc nie szedł: był jednakże pewny, że lada chwila ktoś, najpewniej sama Dyana, po niego przybiegnie lada chwila! Tak mu mówiło wewnętrzne przekonanie i dla tego był spokojny!

Kluczków od biórka nie miał w kieszeni, wypadły na podwórzu, gdy go psy szarpały. Klucz jednakże od kasy, przed samem przybyciem Eliasza, dał Dyanie: ten przeto klucz, pod którego strażą, spoczywała przyszłość jego, był bezpieczny, bezpieczniejszy niż w jego biórku.

Był więc spokojny. Jego gwiazda nie opuści go. Zresztą, czegoż się miał martwić lub trwożyć! Za chwilę wszystko powróci do zwykłego trybu.

Czuł potrzebę położyć się w łóżku.

Przez cały czas pobytu w Kamionkach, wyjąwszy kataru, nie chorował ani razu, wyjąwszy raz na czkawkę: a co to się już działo! Kilku posłańców wyprawiła była Dyana po lekarza, kazała się choremu położyć, usiadła przy łóżku jego i własną ręką poila go orszadą i pomarańczową wodą z cukrem.

Z góry więc przewidywał całą staranność i troskliwość rozpadającej się nad nim kobiety i czuł miękkość pościeli, której tym razem rzeczywiście potrzebował. Tyle skaleczeń, tyle sińców, tyle guzów pokryło jego ciało! Wszystko to trzeba opatrzyć.

— Biedna kobieta! jakże ona będzie nademną bo-

lała! Cóż to za ogrom zmartwienia sprawił jój ten syn, jednak, którego ona tak kocha.

Oto jak ostatecznie sformułowała się jego myśl.

Lecz z pałacu nie przybywał nikt.

Edward z pewną niecierpliwością spoglądał ku bramie i drzwiom wchodowym. Na podwórzu wciąż leżały psy; przy drzwiach pobocznych zabudowań zbierała się kupkami służba i coś ją widocznie niepokoiło, bo te gromadki były niezwykle. To go zaniepokoiło.

— Zapewne, pomyślał sobie jednakże, matka z synem musi mieć w tej chwili burzliwą rozprawę. Dobrze, że się ta scena w mojej odbywa nieobecności.

Przypuszczenie to uspokoiło go. Zaniepokoił go jednakże tatar pocztowy, który co koń wyskoczy wyjechał i przemknął mimo niego.

— Co znaczy ten posłaniec?

Od tego zapytania rozpoczął się dla niego niepokój istotny. Serce zaczęło bić mocno i coraz to mocniej, nie wiedział jednakże czego. Nie umiał sobie zdać sprawy z uczucia, jakie mu nagle pierś ścisnęło, ani z myśli, które chaotycznym tłumem na mózg mu spadły.

Chciał się dowiedzieć, co się dzieje w pałacu: nie było sposobu.

Chwile mknęły i rozdymały się w godziny wyglądanania i oczekiwania. Godziny mijały. Edwardowi w duszy było już jakieś straszne chociaż nieokreślone przecucie, wyrażające się dwoma wyrazami:

— Moje pieniądze.

Rozwaga mówiła mu, że klucz u Dyany. Przecucie przejmowało go trwogą śmiertelną.

— Dyana! czemu nie przyszyła? Miałażby? Nie! to być nie może.

Odpowiedź „to być nie może“ odnosiła się do podejrzenia, które mimowolnie do jego cisnęło się umysłu. Przypuszczał, że Dyana zmówić mogła się z synem na jego zgubę. Lecz odpędał to niepodobne przypuszczenie.

— Żeby też kto wyszedł z pałacu! Żeby też mógł kogo zapytać!

Życzenie to ziściło się nad wieczorem, o tej samej godzinie, w której przez dziewięć z rzędu lat swobodnie i wesoło zasiadał do obiadu. Ujrzał w platanowej alei człowieka. Wyszedł na drogę. Człowiek się zbliżył: był to jeden z najpodrzedniejszych służących. Ujrzawszy Edwarda, zatrzymał się i przeżegnał. Edward za ledwie go znał, lecz przypomniał sobie jego nazwisko i nazwał po imieniu.

— Wysłali mnie, żebym was szukał, rzekł nazwany.

— Cóż tam słyhać? zapytał Edward.

— A nic. Kazali mnie, żebym was przyprowadził. Kazali mi, żebym wam na zapytania nie odpowiadał.

— A psy? zapytał jeszcze Edward.

— Nie bójcie się. Psy wam nie zrobią nic. Chodźcie, ja was poprowadzę.

Edward zadał mu jeszcze pytań kilka, ale na próżno. Niczego się nie dowiedział, tylko że psy mu nie

nie robią. Pobudki jednak tak ważne ciągnęły go do pałacu, że nie miał czasu zastanawiać się, dla czego ten a nie inny został na jego odszukanie wysłany służący. Przecie miał kamerdynera i lokajów. Mniejsza jednakże o to. Poszedł.

We drzwiach wchodowych spotkał swego kamerdynera i zdumiał się. Ten człowiek, taki niedawno uniżony, taki usłużny i o jego względy dbający, przemówił do niego tonem rozkazu:

— Chodź!

I sam poszedł przodem. Edward poszedł za nim i nim jeszcze z pierwszego ochłonął zdumienia, spadło na niego drugie, jeszcze większe. Kamerdyner zaprowadził go do zajmowanego przez niego pawilonu i rzekł:

— Pakuj się! zabieraj rzeczy swoje! i wynoś się!

— Co to jest! Co to znaczy! krzyknął Edward rozpaczliwie i zarazem groźnie, myśląc, że jest na własnych śmieciach.

— Nie pytaj o nic! odrzekł kamerdyner. Słysza-

łeś? Pakuj się! zabieraj łachy swoje i wynoś się! Oto twoje klucze!

Tu palcem ukazał na leżące na stole kluczyki, znalezione zapewne na podwórzu.

— Jeżeli w godzinę nie zabierzesz się, mam rozkaz wyrzucić ciebie i twoje manatki!...

— Ja ztąd nie ruszę się bez widzenia się z panią! zawołał Edward.

— Jeżeli w godzinę nie zabierzesz się, mam rozkaz wyrzucić ciebie i twoje rzeczy! Rozumiesz? powtórzył kamerdyner dobitnie i wyszedł.

Edward pozostał sam, osłupiały, zdumiony i wściekłością przejęty. Stał przez chwilę, a po chwili bezprzytomnie rzucił się ku drzwiom prowadzącym do Dywany pokojów. Otwierał z trzaskiem jedne drzwi po drugich i szedł, biegł, dobiegł do drzwi od tureckiego salonu i znalazł je zamkniętymi na klucz. Szarpnął razy kilka, nie otworzył. Więc puścił się przez inne pokoje i wszedł do frontowego salonu.

(D. n.)

Pamiętniki komedyanta.

P. GYULAIA.

(Z węgierskiego).

(Ciąg dalszy).

Pobiegłem do Kornelji, opowiedziałem jej wszystko i dałem do zrozumienia, że jutro opuścimy towarzystwo. Była zdumioną, zdziwioną i chciała mię uspokoić. Potem przyrzekła mi, że pomówi z dyrektorem, gdybyśmy jednak nie mieli się pogodzić, wtedy powinienem, zdaniem jej, udać się na gościnne występy, co byłoby zresztą wielce dla nas korzystnem materyalnie.

Czy świat ten oszalał, albo czym ja zwaryował? Czyż już nie ma uczciwych ludzi na świecie? Wszyscy ze mnie szydzą, drażnią dwuznacznikami uszczypliwiemi, oszukują. Czyś to ty Korneljo, czy też jaka zawistna czarownica twą postać przybrała, by mnie uwieść na pokuszenie? Mów, mów, chcę wszystko wiedzieć, wszystko! Więc mam udać się na gościnne występy, a ty chcesz tu pozostać. — Skarby zbierać? zbieraj więc, zbieraj, abyśmy mogli olbrzymie, hałaśliwe wyprawić wesele, wtedy może śmiech szydarchy twych wielbicieli nie doleci aż do naszej ślubnej komnaty. Zbieraj, abyśmy mogli dzieci nasze wychować, ale pamiętaj dobrze, by do

mnie były podobne.. Mam udać się na gościnne występy, byś ty tu mogła sama pozostać.

— Tak, tak! o ty łagodna, niewinna, mała dziecię, ty!

Kornelja wcale się nie przeraziła, lecz gładziła mi z niebiańskim spokojem zmarszczki na czole.

„Dawidzie, tyś chory!” rzekła.

„Daj mi więc lekarstwo, pociechę!”

Kornelja zadzwoniła i rozkazała pokojówce do jutra wszystko do podróży przygotować.

„W najbliższem mieście pójdziemy do kościoła i weźmiemy ślub.”

„Kobieto, ty kłamiesz! Nie wierzę ci nic. Ale co inni o tobie mówią, temu wierzę, bo zawistna nienawiść, choć często przesadzona, mówi prawdę a w oszczerstwie jest zawsze choć trochę prawdy. Muszę tylko nabyć pewności. Raczej kazałbym sobie piętno wybić na czole, niżbym miał nosić rogi i raczej wolałbym oslepnąć, niż wyczytać choćby tylko we śnie z szyderskiego oblicza wy-

razy: „Biedny Dawidzie, cieszysz się tam, gdzie niejeden przed tobą już się znudził, ty powtórny żniwiarzu pokłosa!” Rozumiesz mnie kobieto? Módl się, ale sam Bóg cię nie obroni!”

Na ulicy spotkałem czarnego suflera:

„Dobrze, że cię spotykam, Dawidzie. Gramy dzisiaj „Otella.” Przynoszę ci twą rolę, przecież powierzają ci znowu znaczniejszą partję.

„Otello!” — Dobrze, bardzo dobrze. Będę go grał; rolę tę wystudowałem. Nie potrzebujesz mi dzisiaj suflerować, słyszysz? Umiem ją co do słowa. Jesteśmy skazani na noszenie rogów, ale — tu do krwi się dobierzemy. Rozedrę cię w kawałki. — Mnie w rogi ustrojisz — mnie — o!”

„Jeszcze jedno chciałem ci powiedzieć!”

„Może i ty urągasz mi już za plecyma? Czyś ty także stał się już łotrem, co?”

„Cóż za głupstwa pleciesz? O Kornelii chciałem ci powiedzieć.”

„Kornelja tu pozostaje, ja jadę na gościnne występy. Zbierzemy pieniądze, sprawimy sobie wesele!”

„Już wiem, wiem, dla czego ci gaźę odciągają, dla czego ci ról nie dają, dla czego nie obsypują cię okłaskami. Wiem wszystko!”

„Wiesz? Mów, kto kocha się w Kornelji, wyrwij mię z niepewności!”

„Hrabia i dyrektor intrygują przeciwko tobie, a publika bierze udział w tym spisku. Młodzież, niechętnem na to patrzy okiem, gdy pierwsza bohaterka ma za kochanka aktora, i chcą was rozdzielić.”

„Hrabia — publika.”

„Dawidzie, ja ci dawno powiedziałem, byś zakończył raz tę sprawę, jeśli niechcesz ciężko odpokutować. Hrabia, jak mówią, odwiedza często twą kochankę, a zwłaszcza gdy ciebie u niej nie ma, a w ostatnich czasach dla tego tak rzadko występowaliście równocześnie na scenie, by hrabia mógł wtedy, gdy grasz komedią, przepędzać uroczne godziny przy boku twój narzeczonej.

„Człowieku uduszę cię! Dowody, dowody mieć muszę! Nie chcę być mordercą. „Nie zabijaj” uczyła mię, moja dobra, błogosławiona matka. Dostarcz mi dowodów.

„Ale nie targaj mię tak! — Dla Boga, podrzesz mi moje rzeczy — ot urwałeś mi już dwa guziki — niech was oboje djabli porwą, bo ani ty, ani twoja ubóstwiana Kornelja nie sprawicie mi nowego surduta!”

„Muszę mieć pewność!”

„Nie krzycz tak przecie! Opowiadam ci przecie to tylko, o czem całe miasto mówi!”

„Całe miasto — każdy? Dobrze! Dzisiaj gram Otella. Stworzę wam nowego Otella. Szekspir napisał go źle. Czarny sufler nie jest Jagonem, Kornelja nie jest Desdemoną, a hrabia jest szczęśliwszy, niż Rodrygo. — Pomimo to Otello zabije. Dalej do hrabiego. Jest jeszcze dość rychło — o tej godzinie przyjmuje komedyantów!”

„J. W. Panie Hrabio!”

„Ach, daj pokój tytułom. Siadaj, pogawędzimy. Apropoz, skarżą się na ciebie, zabraniałeś wpuszczać nas w czasie przedstawienia na scenę!”

„Uważam to za obowiązek. Pan hrabia bawił się tak pilnie nasze damy za kulisami, że po części za późno przychodziły na scenę z kądem robiło się zamieszanie; między publicznością znajduje się wielu takich, którym piękność aktorki nie zastępuje jej gry. Wreszcie od dzisiaj nie jestem już reżyserem.”

„A to dla czego? Opowiadają, że się obawiasz o Kornelję. Do djabła — ta dziewczyna kocha cię prawie szalenie! — jest przytem niewinną, jak baranek i surową, jak zakonnica. — Obawiać się o taką kobietę, to śmieszne. Ha! ha! ha!”

„Ha! ha! ha!” — zaśmiałem się tak głośno i takim tonem, że hrabia się zamyślił i tak mała nastąpiła pauza.

„Może zjesz ze mną śniadanie? zapytał hrabia.

„Dziękuję, przyszedłem tylko, by pana w pewnej sprawie o radę zapytać.”

„Ah ciekawym.”

„Kocham tę dziewczynę.”

„A ona kocha także ciebie. Ożenicie się wkrótce, będę waszym drużbą i wszystko skończy się dobrze!”

„Cierpliwości! cierpliwości! Pewien człowiek zniesłał tę dziewczynę.

Ludzie mówią o niej rozmaicie, nie mogę temu wierzyć, bo nie mam dowodów, ale nienawidzę tego człowieka. Świat nam obu za ciasny. Udałem się więc do niego, usiadłem vis-à-vis niego, tak jak przed panem, panie hrabio i nazwałem go nędznym uwodzicielem, niktzem, głupcem. Co sądzisz pan, panie hrabio, będzie się on bił ze mną?

„Jeżeliś szlachcicem, Dawidzie.”

„Nie, nie jestem nim.”

„No, w takim razie nie potrzebuje się czuć obrażonym może co najwięcej zadzwonić na służącego i kazać cię za drzwi wyrzucić. Tak przepisują prawa honorowe, albo jeżeli ci się to lepiej podoba, przesąd wyższego świata. A potem gdybyś i był szlachcicem, jesteś aktorem, u nas zaś aktor jest niestety niczem więcej jak komedyantem. Smutne to, ale prawdziwe!”

„Słowo w słowo i on tak odpowiedział i nie wiem teraz co mam począć!”

„Wyszukaj sobie inną dziewczynę, wyśmiej jegomości tego porządnie, który uwielbia kobietę, którą ty pogardzasz, do stu piorunów! w tobie tyle kocha się kobiet, że dalibóg chciałbym być w twojej skórze.”

„Nie, — nie, łaskawy hrabio! Ja mu raczej powiem: „Jeżeli jeszcze raz poważysz się spojrzeć na moją kochankę, jeżeli się do niej raz jeszcze zbliżysz, to cię ubiję!”

„Pałasz teatralny nie ma klingi i nieprzebija. Po-tem, Dawidzie, w życiu dzieje się inaczej, jak w teatrze. Jesteś za słabym. Za wiele czuwałeś przy twym Szekspirze i dręczyłeś się w teatrze. Lecz — mówmy o czem innem. Cóż dziś gracie?”

„Otella.“

„Czeka cię mnóstwo oklasków — rzekł hrabia, który aż dotąd gwałtownie się przechadzał i naraz stanął przedemną: „Dawidzie, ja ci dobrze życzę — przyjmij moją radę. Nie trzeba kobiet zaniedbywać, ale też nie dręczyć ich zazdrością, bo w obu przypadkach za nadto się przeceniają i przez to ich małżonek lub kochanek przestaje być dla nich przedmiotem zajęcia. Słuchaj mnie więc Dawidzie, i bądź rozsądnym.“

„Czystą wygłaszasz p. hrabia prawdę, słowa te są ze złota.“

„Co się zaś dotyczy owego dostojnego rywala, o którym mi mówiłeś“, ciągnął hrabia dalej, podczas gdy twarz jego się zasepiła, znam go bardzo dobrze. Jest on dumny i nie uważa za godnem siebie, rozdeptać ciebie. Ale obrazy nie znosi, a jeżeli będziesz chciał bić się z nim koniecznie zabije cię, jak się muchę zabija!“

Powiedziawszy to oddalił się do swych komnat i pozostawił mnie w towarzystwie dwóch silnych lokaji.

Po południu przybył do mnie sufler, celem przepowiedzenia zemną roli.

„Będę dzisiaj grał tak okropnie, że zazdrośni się przerażą, uwodziciele drzeć będą. Czytaj.“

Sufler zaczął odczytywać, słuchałem z wielką uwagą. Ująłem ten charakter w całej jego głębi, każde słowo wymawiałem z należytem akcentowaniem, i zastoso-
wowałem do niego miny i ruchy. Przeżyłem w Otellu własne moje życie, czułem głęboko boleśń oszukanéj miłości i pojąłem, co to za rozkosz być musi, widzieć ją potem umierającą, ażeby przez nikogo innego jak tylko przezemnie nie była kochaną.

(D. n.)

JAKÓB DE TRÉVANNES.

przekład z francuskiego

F. W.

(Dokończenie).

To wyrzeczenie się byłoby godnem podziwiania, odparł gorzko Jakób. Na nieszczęście, przypuszczając, że ono jest szczerem, to już za późno mój ojciec. Nazwisko nasze nie jest do sprzedania, nawet za cenę nowego przywiązania, którem pani de Trévannes raczy mnie zaszczycać. Co zaś do mego życia, które chce ze mną dzielić, jest ono już oddane komu innemu.

— Jakto, komu innemu? zawołał pan de Trévannes, przecież nikt nie żeni się ze swoją kochanką.

— Przepraszam cię mój ojciec. Honor mój jest odpowiedzialnym za obietnicę, której, już dzisiaj odwołać nie mam prawa.

— Zdaje mi się, mój drogi, odparł chłodno pan de Trévannes, że twój honor jest nieoddzielnym od mojego i sądzę, że pozwolisz mnie czuwać nad nim, równie jak sobie. Wtenczas, kiedy twoja godność wymagała wycofania się z upokorzonego położenia, nie wahałem się powziąć zamiaru, z którego skandal nie mógłby być spaść na nas. Dzisiaj rzecz ta się zmieniła. Ty masz dziecko; twoja żona dała dowody swego żalu, poddając się z rozkoszą wszystkim twoim życzeniom. Zasłużyła więc na przebaczenie, a gdybyś jęj go odmówił, przyczyną twego rozvodu byłaby tylko chęć ożenienia się z kochanką. A tego sądzę, że nie zrobisz, skoro pomyślisz o tem, że w takim razie będę zmuszony zerwać z tobą.

— Co mówisz ojciec? zawołał Jakób, ty miałbyś zrywać ze mną?

— Wierzaj mi, odparł pan de Trévannes, że wiele mnie to kosztuje powiedzieć ci to. Ale dzisiaj konieczność wymaga, abyśmy sobie wszystko powiedzieli. Pojmuje,

że kochasz i że ci robię przykrość, po nad miłość są obowiązki, których się nie opuszcza, choćby serce pęknać miało z bólu. Pomiedzy tobą i twą żoną jest teraz syn, a kiedy opuścisz żonę i syna, ja im zostanę. Zabiorę ich do Glycines gdzie Genowefa pragnie żyć obok mnie. Przystałem na to. Wyjeżdżamy jutro.

— A więc, mówił Jakób, nie dosyć, że pani de Trévannes obraziła mnie srogo, teraz jeszcze rości sobie jakieś prawa do mnie?

— Nie, nie sądzę ją z wyższego stanowiska, odparł żywo pan de Trévannes. Ona kocha cię do poświęcenia, wie o wszystkim, wie o twojéj szalonéj miłości ku pani de Ploëven, którą sama jeszcze może uznaje godną ciebie. I żeby nie być przeszkodą twemu szczęściu, przystaje na rozwód dający ci wolność.

— Co zawołał Jakób, ona to powiedziała?...

Przynoszę ci jęj słowa, rzekł spokojnie pan de Trévannes. Od ciebie teraz zależy, od twego serca i rozsądku, rozrządzić przyszłością nas wszystkich.

Jakób zbladł zastanawiając się z trwogą nad tem coby miał odpowiedzieć.

— Moja decyzja jest powzięta, mój ojciec, odparł wreszcie. Błagam cię, nie obwiniaj mnie o brak przywiązania ku tobie, ale muszę iść za uczuciem honoru, wpojęnego mi przez ciebie. Byłoby nikczemnie, gdybym spełnił ofiarę, której żądasz odemnie.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Ostatnie, wyszeptał Jakób.

— W takim razie, dodał smutnie pan de Trévannes, podajmy sobie ręce i pożegnajmy się.

Na to orzeczenie powstał Jakób, popatrzał na niego z osłupieniem, poczem rzucając mu się na szyję:

— Ale ojcze drogi, to nie podobna zawołać. Nie możemy tak się rozstawać.

— Nie idziemy już wspólną drogą, odparł pan de Trévannes. ty jesteś posłuszny temu, co nazywasz twoim obowiązkiem, ja wypełniam mój.

Bywają dziwne położenia, w których rzeczywistość nagiego faktu nie pozostawia nic w obec sofizmatów namiętności, gdzie szczytna loika najprawdziwszego uczucia unicestwia się przed nieodzwonnością losu. Sumienie posiada chwile takiego niepokoju, w których zaciemnia się poczucie obowiązku. Jakób kochał, a w tej walce miłości z rozumem rozprzeżenie jego zmysłów tłumiło litość nad Genowefą. Po tem pożegnaniu, rozłączającym go na zawsze z ojcem, pozostał przygnębiony, jak gdyby jaka żyłka w jego sercu była pękła. Ale czyż mógł ważyć się w obec świętego obowiązku względem Aurory, w obec tego poświęcenia bez granic? Dla próżnych żalów, ledwo zacierających wspomnienie najdotkliwszej obelgi, miałże zapominać o honorze, zapoznawać swą duszę i wiarę? Wkrótce przypomniał sobie, że i ona zapewne cierpi i czeka z trwogą skutków tej rozmowy mającej ustalić ich przeznaczenie. Wyszedł szybko, żeby się z nią zobaczyć.

Tym razem przynajmniej niestety! powie jój, że wszystko już bezwarunkowo postanowione. Ona nie będzie wiedzieć za jaką cenę. Sześć tygodni, albo dwa miesiące pociągną się formalności rozwodowe. Wtedy pojedzie do Kéronac i będzie mógł dać jój swoje nazwisko.

W stanowych chwilach, silne charaktery nabierają tem więcej sprężystości, im większe jest poświęcenie. Przyszedszy do Reginy, Jakób stłumił swą boleść. Chciał, aby Aurora widziała go szczęśliwym w chwili wesołej wiadomości. Znając mieszkanie, wszedł bez anonsowania. Służący stał w sieni i otworzył mu drzwi do salonu. Pani Berthoret była sama.

— A to pan! rzekła, o tej godzinie? Co pan zrobiłeś z moją biedną Aurorą?

— Z Aurorą? rzekł Jakób zdziwiony, ależ ona musi tu być oddawna, myślę. Opuściła mnie od dwóch godzin.

— Nie wróciła jeszcze. Dopiero od niej wracam.

— To spóźnienie zastanawia mnie, odparł zakłopotany.

— Otóż zaraz poznać kochanków! rzekła Regina ze smutnym uśmiechem; czekaj pan na nią. Z pewnością zatrzymała się w kościele.

Chociaż w tem tak naturalnem tłumaczeniu, nie było powodu do niepokoju, Jakób nie mógł obronić się tajemną trwogą.

Pani Berthoret żartowała najprzód z jego obaw, ale skoro jój powiedział wszystko, zdziwiła się tak samo, jak on. Trzy godziny upłynęły, jak wyszła z ulicy Assas. Jak sobie wytłumaczyć, że dotąd nie wracała.

— Ona musi być u pana, rzekła nagle Regina. W tem zamieszaniu złości się umówili. Powóz mój zaprzężony, weź go pan i jedź.

Ożywiony nadzieją, Jakób wypadł jak szalony. W przeciagu kwadransa był u siebie.

— Pani tu jest, nieprawda? zapytał służącego.

— Pani? nie panie, odpowiedział Franciszek.

— Nie wróciła — Jesteś pewny? Nie kazała mi nic powiedzieć w czasie mojej nieobecności?

— Ale, rzekł zadziwiony Franciszek, pani jeszcze, tu była, jak pan wychodził.

— Jakto! była tutaj? zawołał Jakób. Odeszła prze-

cie, jak przyszedł mój ojciec. Nie przypominasz że sobie tego?

— Ale nie panie, rzekł służący, pani została była u pana w pokoju.

— Nie była odeszła?

— Nie i mocno się zdziwiłem ujrawszy panią prawie zemdlającą po pana odejściu. Przyszedszy do siebie kazała mi przyprowadzić sobie powóz.

Jakóbowi nasunęło się okropne podejrzenie. Z pokoju, przypierającego do jego pracowni, gdzie rozmawiał z ojcem, można było wszystko słyszeć.

W napadzie szalonej trwogi, wrócił do Reginy, z nadzieją, że Aurora wróciła wreszcie. Tam mu powiedziano, że Regina zawiezana jakimś listem, nagle wyszła. Zostawiła dla niego następujący bilecik:

„Nie obawiaj się pan, biegnę do niej. Czekaj nas.“

Czytając te parę wyrazów, Jakób uczuł dotkliwą boleść. Straszne przecucie go opanowało. Przypomniał sobie ten straszny dzień, kiedy uciekła z Roc... Są godziny bolesne, podobne godzinom konania. Noc nadeszła, on czekał ciągle, drżący, na wpół szalony. Nakoniec usłyszał turkot pojazdu wjeżdżającego na bruk podwórza. Na wpół obłąkany prawie wybiegł do przedpokoju. Ujrzał Reginę. Była sama, poczuł jakieś nieszczęście. Nie nie rzekłszy, pociągnęła go za sobą do salonu.

— Widziałas ją pani? zapytał śmiertelnie blady.

— Tak, odpowiedziała, widziałam.

Nie śmiejąc nic mówić, zapytał ją wzrokiem.

— Jakóbie, rzekła chwytając go za rękę, trzeba nam obydwom odwagi.

— Gdzie ona jest? zawołał, gdzie pani ją zostawiłaś?

— Była u pana de Rioux, a teraz... odjechała...

— Odjechała?

— Na Boga, proszę cię Jakóbie! mówiła z żywością Regina, pozwól mi powiedzieć sobie wszystko...

— Ach, dokończ pani! Ona już dla mnie stracona, nieprawdaż?

— Wręczyła mi list dla ciebie Jakóbie, pragnęłabym tylko, abyś był spokojniejszym...

— Ale pani mnie zabijasz! zawołał łkając. Błagam miej litość nademną...

— A więc otoż jest. Prosiła mnie, abym była obecną, kiedy będziesz go czytał...

Podala mu list w otwartej kopercie. Czytał chciwie:

„Jakóbie, mój ukochany! piszę do ciebie, błagając cię na kolanach, abyś miał odwagę... Biedne moje serce takie złamane! Drzę o ciebie w chwili, kiedy ten list odbierzesz, obłany memi łzami. Nasze szczęście zanadto było wielkie. Bóg je karze. Jakóbie, przebac mi. Wiem wszystko. Chciałam słyszeć co twój ojciec w ważnej swój rozmowie o nas rozstrzygnie i słyszałam wszystko: jak mnie potępił, mój wstyd i jego pogardę dla tego, co uważałam za szczytną ofiarę dla naszej miłości. Zbadałam całą głębią przepaści i w szalonym napadzie obawy, przewidywałam przyszłość zgotowaną tobie moim upadkiem... Biedny przyjacielu, jak ty mnie broniłeś!... Ach, ja cię kocham, kocham!... Ale nieprawdaż, powiedz, wszakże nie byłabym godną ciebie, przyjmując świętokradzkie poświęcenie miłości synowskiej, które wypełnia twe serce, gdybym wystawiła twój honor na nagane świata, sądzącego mnie bez miłosierdzia? Niestety, widzę jasno, zasłona spadła, twoje bóstwo zdruzgotane... Jakóbie po nad naszą miłość są odwieczne prawdy, których takie dusze jak nasze nie zdołałyby bezkarnie zapoznawać. Sądząc się wolnemi, mogliśmy oddać się marzeniu dozwolonej miłości. Bóg nas sam osądził. On

czytał w naszych sercach... Ale! nadeszło przebudzenie, okropna rzeczywistość nas przyciska. Ty masz ojca, dziecko. Wspomnienie tych istot stanęłoby pomiędzy nami, jako upokarzające zapoznanie najświętszych węzłów. Kiedyś przeklinałbyś mnie, że tyle cię kosztowałam. — Jakóbie, mój ukochany, żyliśmy marzeniem, ale zanadto cię kocham, aby serce moje nie zdołało podnieść się do twojego. Nie byłibyśmy godni siebie, nie zdobywając się na odwagę. Słyszałam wszystko, co twój ojciec mówił o twojej metressie. W szacunku, który miał dla mnie, tak nisko upadłam, że już nie nie może mnie podnieść. Och jak ja się czułam podeptaną tem nieubłaganem prawem obowiązku, który ci przypominał!.. Masz żonę, dziecko. Mogłabym należeć do ciebie tylko ze cenę poniżenia, dręczącego mą duszę. Wypędzona z domu twego ojca, byłabym dla niego tylko przekleństwem wspomnieniem... Jakóbie, umarłabym; ta myśl by mnie zabiła. Nasza miłość tak jest wielką, że nie mogę wyobrazić jój sobie inaczej jak czystą, pełną dumy i zobopólnego zaufania ku sobie. Pozbawiona szacunku ludzi, pociągałabym ciebie za sobą. Nikt się nie żeni z metressą... ta hańba rzucona mi przez twego ojca nie może być w obec nas zmasakrą. Ona mnie pali i piętnuje czoło. Nie mogłabym spojrzeć na ciebie, myśląc, że widzisz tam zawsze to piętno. Umarłabym czując się poniżoną... Jakóbie, mieliśmy piękny sen. Przezna czenie mocniejsze od nas.

„A teraz posłuchaj mnie mój ukochany. Oddałam ci moją duszę, która do ciebie należy, równie jak cała moja istota.

„Wiem jaka rozpacz cię ogarnie, kiedyś będziesz ten list czytać, a serce rozdziera mi się na tę myśl. Jeżeli zabraknie ci odwagi, każ mi powrócić, a usłucham cię. Kocham cię tak, że jestem zdolna wszystko wycierpieć, nawet jeżeli chcesz, dać ci moje życie, choćby ono było złamanem. Nie będę ci odmawiała reszty mego honoru i cnoty. Nie mogąc być twoją żoną, zamknę się w mojem poniżeniu i będę przy tobie pędzić reszki życia, dopóki nie umrę...

„Niestety, robię ci wielką boleść, nieprawda? A mnie łzy wzrok zasłaniają, nie widzę wcale co do ciebie piszę, myślę o twojej boleści... Błagam cię, nie lituj się nademną! Myśl tylko o sobie, niechcę, abyś cierpiał... Kocham cię, kocham! i błogosławie, cokolwiek bądź odemnie żądać będziesz! ale jeżeli masz litość nademną, pozwól mi odpokutować mój smutny błąd. Jakóbie, jest Bóg nad nami. On nas pocieszy, jeżeli potrafi być silnymi.

„Teraz przyjacielu, powiedz, co mamy czynić. Żyjąc, lub umarł należę do ciebie, nawet w tem schronieniu, gdzie idę szukać zapomnienia. Regina powie ci gdzie jestem. Którękolwiek dnia — i o którymbyś czasie, jeżeli nie potrafisz żyć dalej, zawołaj mnie, a choćby szło o zbawienie mój duszy, oddam ci wszystko... Zegnaj cię!...

VII.

Są natury silne, które umierają stojąc i których spokój w boleści tysiąc razy więcej jest straszliwy, jak skargi tchórzów. Jakób po przeczytaniu tego listu, pozostał niemym chwilę, nieruchomy, jakoby był wyprężał wszystkie siły duszy, aby umocnić chwiejący się umysł.

Zbladł, z suchem okiem czytał wyrazy pożegnania, takie rozdzierające. Regina ujęła łagodnie jego rękę.

— Mój przyjacielu, rzekła, ona zaklina cię przymennie, abyś miał odwagę.

— Gdzie ona jest? zapytał.

— Pojechała do Nantes. Myśli szukać schronienia u Urszulanek, jeżeli pozwolisz zapomnieć tam jój nie-szczęścia.

— Ona jest w rozpacz, nieprawdaż?

— Jakóbie, rzekła Regina po chwili milczenia, odgaduję walkę w twojem sercu się toczącą. Znam waszą boleść, słyszałam krzyk rozpacz. Zaklinam cię, jeżeli nie jesteś w stanie znieść ciężaru twój nędzy, ona powróci do ciebie, jeżeli tego zapragniesz... Ale w imię siostrzanéj miłości, którą mam dla was obojga, proszę cię o trzy dni namysłu.

— Będę posłuszny, rzekł.

Skoro Jakób odszedł, pani Berthoret zatrwożona ponurą jego rezygnacją, udała się do pałacu Fourchamp. Pan de Trévannes jeszcze tam się znajdował. W poufnej rozmowie opowiedziała mu wszystko, obawiając się jakiego szalonego kroku. Nie tracąc czasu i zaniechawszy myśl o odejściu, pan de Trévannes udał się do mieszkania syna. Znalazł go złożonego tak ciężką febrą, że nie śmiał go opuszczać. Nazajutrz Jakób znajdował się w przestrasającym stanie. Przywołany lekarz oznajmił zapalenie błony mózgowej. Wpadł w okropną gorączkę, a kiedy Urszula z Genowefą do niego przybyły, już ich nie poznał. Mając ciągle na ustach imię Aurora, zdawał się walczyć w okropnym śnie.

Całe cztery tygodnie obawiano się o jego życie. Urszula i Genowefa zamieszkały na ulicy Assas, dzień za dniem, noc za nocą, walczyły przeciw śmierci, chcąc w każdym przesileniu choroby wydrzeć go ich przywiązaniu. W końcu pewnego wieczoru, gorączka ustała. Poznał ojca i usnął.

— Ocalony! rzekł lekarz, znający ich ukryte cierpienie. Ocalony, jeżeli potraficie go uchronić od nowego wstrząśnienia duszy.

Następny poranek potwierdził ich nadzieję... Budząc się, Jakób podał rękę ojcu i kuzynce. Zrozumieli, że ocenili ich staranie. Wzrok jego przebiegł pokój i gorzki uśmiech zabłysnął mu na ustach, jakby na wspomnienie utraconego szczęścia... W tym momencie spostrzegł koniec sukni Genowefy, ukrytej za kotarą, w obawie, aby jój nie zobaczył.

— Biedna Genowefo! rzekł i ty również bardzo cierpiałaś!

Na to powiedzenie, Genowefa nie mogła się od łez powstrzymać, a biegnąc ku Jakóbowi, upadła na kolana przed jego łóżkiem. Widząc ją tak bladą, uczuł się wzruszonym.

— Dziękuję także i tobie, rzekł, kładąc swą wychudłą rękę na jój pochyloną głowę, jakby jój przebaczał.

Ale rekonwalescencja długo się ciągnęła. Po tygodniu, lekarz przepisał kilkumiesięczny pobyt w Glycines, gdzie rodzinne powietrze miało dokończyć uzdrowienia. W wilią wyjazdu, pan de Trévannes na prośby syna, poprosił Reginę. Pani Berthoret oznajmiła Jakóbowi, że Aurora schroniwszy się do klasztoru Urszulanek, nie wiedziała o niebezpieczeństwie w jakim się znajdował. Zaufana w tym, którego tak kochała, spodziewała się znaleźć tam zapomnienie i błogosławiła go, że pozwolił jój odpokutować winę.

— Niestety! będę jój posłuszny, ale niechaj Bóg nam dopomoże.

W pół roku później, Jakób i Genowefa opuszczali

Glycines, aby zamieszkać we willi, wynajętej w sąsiedztwie. Po tylu burzach, jeżeli jeszcze szczęście do nich nie zawitało, znaleźli jednak napowrót ten spokój, który czas przynosi każdej ludzkiej boleści. Pomimo rozdzielających wspomnień przeszłości, dziecko łączyło te dwie tak godne siebie istoty.

Biedna Genowefa, odgadując z myśli Jakóba, że smutne wspomnienie zawsze jeszcze pomiędzy nimi istnieje, ukrywała często łzy, ale on wydawał się taki zrezygnowany, okazywał jej tyle dobroci i swobody, że pocieszała się nadzieją. Cały zresztą oddany pracy, zajęty dziełem, którego szczęśliwy obrót miał uwieńczyć jego wysilenia, prowadził życie czynne, umarzające każde cierpienie. Na wpół wtajemniczona w jego marzenia poważna, uleczona z dawniej próżności, wspierała go z silną wolą przyjaciółki.

Rok upłynął. Ryszard powrócił z Afryki i zamieszkał u nich przez miesiąc. Jakób przyjął go z uśmiechem, a Genowefa była prawie szczęśliwa. Spahis wiedział, że czas kończy swe dzieło, że żale i smutki idą powoli w zapomnienie.

Pewnego dnia, kiedy Jakób wyjechał na tydzień po Szafuzy, nadszedł list z Bretanii. Był on adresowany

do Genowefy. Otworzyła go ze drzeniem. Przeczytawszy pierwsze wyrazy, pobladła, czytając co następuje:

Pani.

„Z głęboką boleścią wypełniam smutny względom pani obowiązek, przekazując jej ostatnie życzenie pani Aurory de Ploëven, zmarłej, trzy dni temu w klasztorze Urszulanek w Nantes. Żałowała za grzechy: módl się pani za nią!

„Michot, proboszcz z Kérouac.“

Do krótkiego tego biletu, dołączony był drugi list:

„Genowefo, cierpiałś przezemnie. Kiedy będziesz czytać te wyrazy, winy moje będą mi odpuszczone. Bóg wysłuchał mych prośb, uwalniając mnie od cierpienia. Nie żałuj mnie i bądź szczęśliwa. Nie stoję już pomiędzy wami. Przebac Jakóbowi i powiedz mu, że ostatnia moja myśl była prośbą do Boga, aby cię kochał. — Żegnam cię.“

„Aurora.“

KONIEC.

Drobiazgi.

Niedawno opuściło prasę w Warszawie dziełko (pseudonim Mrówka). Kto jest Kraszewski i co zrobił. W książeczce tej autor podawszy pokrótce działalność literacką Kraszewskiego, charakteryzuje utwory jego szczególnie na tle ludowym oparte. Mamy więc tam pokrótce podaną treść „Ulany“, „Ostapa Bondarczuka“, „Budnika“, „Jaryny“, „Historii kółka w płocie“ i t. d. Dziełko to napisane po prostu a ciepło powinno się rozjeść w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Szczególniej zwracamy uwagę szan. oświaty ludowej na tę książeczkę — a i cena bardzo przystępna kosztuje bowiem tylko 20 fen.

Pewien przedsiębiorczy restaurator w Stanach Zjednoczonych przybił na drzwiach cementarnych, blisko restaracji jego położonych, następujące ogłoszenie. „Dla powracających z pogrzebu! Poleca się piękne salony i pokoje dla tych, którzy samotnie chcą drogie opłakiwać straty. Najlepsze wina — dobre likiery — skora usługa.“

Relikwia, krzyż, który Ludwik XVI w przededniu swego ścięcia miał na sobie był własnością Mons. Prospari, tenże umierając zapisał krzyż ten Leonowi XIII.

Podróżni w Paryżu. W prefekturze policyi paryskiej, zrobiono zestawienie ile obcych zwiedziło wystawę powszechną. Oto spis ich. — W ostatnich sześciu miesiącach przybyło do Paryża 58,916 Anglików, 21,778 Niemców, 28,830 Belgów, 11,986 Szwajcarów, 13,573 Amerykanów, 8,501 Austriaków, 2,228 Luxemburczyków, 6,682 Holandczyków, 13,608 Włochów, 1767 Duńczyków, 2705 Szwedów i Norwegów, 5,725 Moskali.

Balon Giffarda przyniósł swemu właścicielowi przez czas wystawy w Paryżu, bagatelkę — 800,000 franków.

Kraszewski drukuje obecnie następujące powieści: „Wilczek i Wilczkova“ (Biesiada literacka). „Syn marnotrawny“, powieść z XVIII wieku (Biblioteka warszawska). „Pan na czterech chłopach, (Kronika rodzinna). Oprócz tego świeżo opuściły prasę powieści jego: Ada (2 tomy). Jak się pan Paweł żenił i jak się ożenił. Hołota (2 tomy). Złoto i Błoto.

Tygodnik Powieści zamieszczać będzie w następnych numerach znakomite powieści: Petersa, „Na dwóch półkulach.“ M. Jokaia „Dwórożny człowiek,“ oraz Turgeniewa, „Malek-Adel.“